

**Zbigniew Kosiorowski**

### **Pierwsze wodowanie**

Siedemdziesiąty trzeci zaczął się ostrą zimą, śnieżycami, zamarznąłą Odrą, cojednak nie mroziło mojego zapału do nowej pracy; od niedawna dziennikarza na pełnym etacie w Redakcji Publicystyki i Informacji, kierowanej przez Bohdana Czarnockiego. Ogładzany przez cztery lata jako współpracownik Redakcji kulturalnej, odwiedzałem dotąd wyłącznie salony Ali Głowackiej na parterze przy Niedziałkowskiego 21. Nie znałem wcześniej górnej kondygnacji, pulsującej odmiennym życiem, niż dystyngowany dół z gabinetem z-cy red. nacz. Tadeusza Stoińskiego, redakcjami: kulturalną, młodzieżową, a zwłaszcza rozrywki z jej kierownikiem Bolem Grodzickim i Tadkiem Klimowskim. „Satyrycy” tłoczyli się w klitce na końcu mrocznego korytarza skąd czasami dobiegał nas lwowski zaśpiew pana Bola, gdy strofował Tadeusza za źle dostrojoną harmonię: „*Tadzik, ty mnie kiedyś zabijesz, bo ile tak można, co? Aż trzy dni?*” Moja ówczesna szefowa Ala w takich sytuacjach kiwała ze zrozumieniem głową. Czasem nawet złośliwie komentowała: „*Tadziu znów w Muzach układał z Gałczyńskim szlagier o szczecińskich mewach i coś im nie wyszło...*” Reagowaliśmy na to z Bogdanem Wojtczakiem spontanicznie rycząc w duecie przez otwarte na korytarz drzwi: „*biała mewa leć po falach hen...*”. Zaraz z<satyry> wychylał nosa pan Bolesław (zwanych przez kumpli „morskim konikiem”), kładł palec na ustach i prosił: „*Panowie, no panowie, dosyć, teraz chwila ciszy, bo Tadzio się skupia, a „Radiokuter” na popołudnie jeszcze w proszku*”. W podobnych inscenizacjach uczestniczyłem kilka razy. O tak, znany mi i lubiany dół był nader metafizyczny, z metaforą w każdym zaułku, zadymiony nie tylko papierochami redaktora Stoińskiego. Góra, to co innego.

Fabryka dzienników z siedmioma biurkami, z obleganą i brzęczącą montażówką, z warkoczącym teleksem, rozgadanymi telefonami przy których rządzą Marysia Nesterowicz i Wiesiek Dachowski, z rozdyktowanym balkonem za sprawą Kazika Tomczyka, Bohdana Onichimowskiego i Bohdana Czarnockiego, z Tadzkiem Nowickim wkurwionym na tych „co na morzu”, z rozanielonymi gośćmi ( Zygmuntem Apostołem, Walusiem Pawłowskim), wpadającymi opowiedzieć jakiś kawał, a często działo się to wszystko razem, w tym samym czasie. Informacyjny wulkan gromadził energię, nabrzmiewał, lawa bulgotała, zbliżała się erupcja i wtedy wpadał wicenaczelnny Waldek Makarenko z pytaniem: „jak tam z dziennikami, chłopaki?” Na co Marysia wymownie wskazywała głową w stronę balkonu. Waldek wkraczał i rozdzielał zwykle skaczących sobie do oczu Bohdanów. Ostudzony szef PI rozkładał bezradnie ręce i leciał do pani Zosi Krajewicz dyktować z *kapelusza* komentarz aktualny (w czym był mistrzem). Makarenko nerwowo pokazywał, że ma zegarek i siadał przy montażówce posłuchać dźwiękowych relacji jeszcze gówniano posklejanych, wymagających gilotynki. Kazik poprawiał je od ręki. W redakcji rosła siła spokoju i tylko teleks nieustannie trajkował w oszklonej kabinie donosząc o innych zwariowanych albo i nie, światach. Nasz „Starenia”, jak ochrzcił Makarenkę starszy specjalista od morskiej gospodarki, Rysiek Bogunowicz (zwany przez Waldka „Spuchlaczkiem”), wygłaszał zwięzłe sentencje w sportowym języku co fabryce przywracało produkcyjną równowagę. Przez najbliższy kwadrans panowało skupienie nad każdym równoważnikiem zdania i scenariuszem „Studia Bałtyk”. Przez otwarte drzwi dobiegał stukot z hali maszyn i podniesiony głos pani Zosi, która nie dawała się poganiać Czarnockiemu. Na wprost redakcji gabinet naczelnego, Zbigniewa Puchalskiego, miał nas na widoku i chodziło o to, żeby nie wywoływać wilka z lasu, który bardzo rzadko do nas wpadał, ale nie należało kusić losu. Tak oto zwolna ogarniałem w pierwszych beańskich tygodniach kosmos na piętrze.

Najważniejsza na tych wysokościach bywała kasa jakby ciągle wypłacająca wierszówki, jednak dwa razy w miesiącu gromadziła tłum spragnionych, czekających rządkiem na otwarcie okratowanego okienka. Wszyscy w potrzebie, wypełzali godnie zwłaszcza z biblioteki i bufetu, z którego aż do kasy dobiegały przypomnienia: „*a nie zapomnijcie, że braliście na krechę...*” Wpierw wstydziłem się ustawiać wraz z innymi pod kasą, bo moje dotychczasowe honoraria, mogły jedynie rozśmieszyć radiowych harpagonów, no zdawały się bardziej honorowe... Aż do teraz! Obecnie, wzmacniany wierszówką z Redakcji kulturalnej, czułem się milionerem, ale na tę moją współpracę i ambicje literackie kierownik PI patrzył niezbyt chętnie, podejrzewałem. Chyba żeby sprawdzić moją gotowość do rzeczy prawdziwie wielkich, a nie takich tam lichot w postaci recenzji i felietonów dla Notatnika Kulturalnego Wybrzeża, zlecił mi zadanie prawdziwie reporterskie, przygotowanie dla Przeglądu Aktualności Wybrzeża „takiej po byku” relacji dźwiękowej z wodowania w Stoczni Warszawskiej. Teoretycznie wiedziałem jak to zrobić, ale w praktyce i po byku?

Drobnicowiec dla bratniej floty *narzędziowców*, olbrzymi jak arka Noego, wyrastał ponad naszymi głowami, celując stalowymi burtami w krystalicznie błękitne niebo. Z zadartą głową i mikrofonem przy ustach czekałem aż ruszy, dostojnie spłynie do portowego basenu przy Wulkanie. Wysoko na rusztowaniu uroczystość celebrowała ekipa notabli: dyrektorzy, armator, spiker i budowniczy z mamušką chrzestną. Miałem wrażenie, że chuchają na butelkę szampana, bo mróz przenikał kości. Orkiestra przy pochylni co rusz stroiła instrumenty (współczułem przemarzniętym dęciakom), kapelmistrz nadśluchiwał komend z megafonów, by w porę unieść laskę i wydobyć z orkiestry należyte dźwięki. Wreszcie padły słowa: „*płyn po morzach i oceanach...*” mamuška wzięła rozmach i ... trach! Butelka poleciała jakoś skosem, ledwie otarła się o burtę, zrobiło się zamieszanie, z megafonu rozległo się polecenie; „*kliny wybić!*”, co zrobiono, statek drgnął, tambou major ruszył

laską, rozległy się pierwsze dźwięki znanej nam melodii, a ja zacząłem sprawozdawać. Redakcyjny magnetofon (nagrę) obsługiwał technik, Stanisław Migda. Na moje pierwsze znakomite zdanie, rozdziawił zdumioną gębę, doceniając mój talent, co mnie jeszcze bardziej uwzniośliło. Słyszałem tylko siebie i stosowne na taką okoliczność słowa jak to wysiłek szczecińskich stoczniowców, scalony w tak pięknej bryle zaczyna nieść w świat efekty nowoczesnej myśli technicznej, powstałej na Odrą, i że..., tego... Co się dzieje? „*A gównu! Panie redaktorze*, odpowiedział pan Stanisław, *pan żeś to wodowanie zupełnie spieprzył. Patrzaj pan, statek ani drgnie, zasłuchał się w takie kwękanie... i dupa zimna*”. Dopiero teraz zorientowałem się, że ja kończyłem już wodowanie, a drobnicowiec jeszcze nie, bo smary na pochylni zamarzyły.

Orkiestra trzy razy zaczynała marsza, za każdym kolejnym razem stoczniowców coraz bardziej bolały zęby, mama chrzestna rozgrzewała się ćwicząc kolejny rzut butelką, zdawało się, że płacze i klnie, iż spotyka ją taki pech. Niepotrzebnie, bo ja już wiedziałem kto tu dziś robi za planetnika. „*Panie redaktorze* – utrwał mnie w tym przekonaniu technik – *takie wodowanie wymaga więcej nerwu, dogadywał, niech pan nawet krzyczy, tu trzeba tej, no, werwy, kurwa!, panie redaktorze, bo my do noc ynie spuścimy ruskim tego kloca. To jeszcze raz, no! - uwaga!*” Tym razem poszło, skandowałem do mikrofonu jak należy, pana Staszek nagrywał, statek wreszcie ruszył, orkiestra dęła z całej mocy, rufa sięgnęła wody, chlupnęło, zagrzmiało, wzburzona fala gnała przez basen aż pod Gryfię, łańcuchy opadając za burtę grzechotały jakby kubańską rumbę, a ja to wszystko miałem nagrane. I po byku! Hosanna! Dzięki ci, panie Staszku, żeś nas wtedy uratował, a zwłaszcza statek z sierpem i młotem na kominie.